

ZOSTAŁA WYBRANA I WŁAŚNIE NADSZEDŁ JEJ CZAS

DZIEWCZYNA COGNIA i CIERNI



RAE CARSON

CZEŚĆ I



1



W sypialni migoczą płomienie modlitewnych świec. Na łóżku leży porzucony manuskrypt *Scriptura Sancta* z pozaginanymi rogami kart. Na kolanach mam siniaki od klęczenia na kafelkach, a w pępku czuję pulsowanie Boskiego Kamienia. Modłę się — nie, błagam, zaklinam — żeby król Alejandro de Vega, mój przyszły mąż, okazał się brzydki i stary, i tłusty.

Dzisiaj jest dzień mojego ślubu. I moje szesnaste urodziny.

Zwykle unikam zwierciadła, ale dzień jest tak doniosły, że ryzykuję i zerkam. Nie widzę siebie zbyt wyraźnie, powierzchnia polerowanego ołowiu zaciera kontury. Pęka mi głowa i jestem półprzytomna z głodu. Mimo zamazanego odbicia podziwiam swoje ślubne *terno* — jest piękne, jedwabne, naszywane szklanymi paciorkami i mieni się jak woda, gdy się poruszam. Wyhaftowane róże ozdabiają skraj spódnicy i bufiaste rękawy. To arcydzieło, zważywszy na to, iż szyte w pościechu.

Wiem, że wiele straci, gdy zaczną je na mnie dopinać.

Wzdycham i skinieniem przywołuję pomoc. Suną do mnie obydwie, niania Ximena i lady Aneaxi, wyposażone w haczyki do zapinania guzików i przepraszające uśmiechy.

— Wciągnij głęboko powietrze, słońce moje — instruuje mnie Ximena. — A teraz wypuść. Do końca.

Wypuszczam powietrze z płuc, wydycham je i wydycham, aż opada mi głowa. Moje panie łapią haczykami guziki, przeciągają przez pętelki; suknia mnie ściska. Widzę w zwierciadle mocno ściągnięty gorset. Wpija się w ciało tuż nad biodrami. Przeszywa mnie szarpiący ból podobny do kolki, jaka chwyta mnie nieraz, gdy idę na górę po schodach.

— Prawie gotowe, Eliso — zapewnia Aneaxi, a ja mam, niestety, niepokojące przeczucie, że przy następnym wdechu ucisk gorsetu na płuca okaże się dla mnie śmiertelny. Chcę zerwać suknię. Nie chcę wychodzić za mąż.

— Koniec! — obwieszczają jednogłośnie, każda cofa się o krok, staje z boku i podziwia wspólne dzieło.

— No i co powiesz na to? — pyta Aneaxi cichym, niepewnym głosem.

Gorset pozwala mi jedynie na szybkie, płytkie oddechy.

— Ja sędzę... — Gapię się oszołomiona na moje piersi. Nad górną krawędzią gorsetu widzę obfite fałdy skóry. — Cztery! — chichoczę nerwowo. — Cztery cyce!

Na twarzy niani pojawia się tłumiony wyraz rozbawienia. Kiedy rok temu moje piersi stały się wyjątkowo obfite, to Ximena zapewniała mnie, że mężczyźni nie będą potrafili się oprzeć ich urokowi.

— Piękna suknia — mówi Aneaxi wpatrzona w samą spódnice.

Potrząsam głową.

— Wyglądam jak kielbasa — fukam. — Jak wielka, rozdęta kielbasa w białej, jedwabnej osłonie. — Chce mi się płakać. Albo śmiać. Trudno powiedzieć, co bardziej.

Śmiech niemal zwycięża, ale moje dwie panie ze zmarszczonymi czołami, dwie siwiejące mamy kwoki, gdaczą obok, słyszę ton współczucia i pokrzepienia.

— No nie, skądże, jesteś uroczą panną młodą! — mówi Aneaxi. — Przeszłaś kolejny skok dojrzewania, rozrosłaś się, to wszystko. Masz przepiękne oczy! Król Alejandro nie zauważy, że suknia jest przyciasna.

Więc jednak skłaniam się do płaczu, ponieważ nie znoszę współczucia, zwłaszcza że Ximena nie patrzy mi w oczy, gdy z ust Aneaxi padają fałszywe komplementy. Po chwili leją się łzy, bo w ogóle nie chcę mieć na sobie tego *terno*.

Kiedy bliska torsji pochlipuje, Aneaxi całuje mnie w czubek głowy, a Ximena wyciera mi łzy. Płacz pobudza do głębszych oddechów. Potrzebuję całych kubłów powietrza. Jedwab się napina, szwy wgrzyzają mi się w talię, tkanina pęka. Kryształowe guziki z brzękiem toczą się po glazurowanej podłodze, a do moich wygłodniałych płuc napływa wreszcie powietrze. Żołądek reaguje gniewnym pomrukiem.

Obydwie padają na kolana i przeczesują palcami dywaniki z owczego futra oraz szczeliny między podłogowymi płytkami w poszukiwaniu oswobodzonych guzików.

— Powinnaś mieć jeszcze tydzień — pomrukuje Ximena znad podłogi. — Cały tydzień, żeby cię porządnie wyszykować. W końcu to królewskie wesele i chyba wymaga odpowiednich przygotowań!

Mnie także przeraża tempo tego wszystkiego.

Gorset zrobił się luźny i udaje mi się rozpiąć na plecach pozostałe guziki. Oswobodziwszy ręce z rękawów, próbuje zsunąć suknię przez biodra, ale jedwab trzeszczy, więc ściągam ją przez głowę. Odrzucam *terno* jak najdalej od siebie, nie przejmując się, że ląduje w nieładzie na podłodze, zamiast spocząć na łóżku. Wciągam na siebie szorstką wełnianą suknię. Trochę mnie gryzie, ale za to jest przyjemnie luźna.

Odwracam się plecami do dwóch dam kontynuujących poszukiwania na podłodze i schodzę do pomieszczeń

kuchennych. Skoro moja suknia i tak jest za ciasna, mogę wrzucić w siebie ciasto — jest jeszcze ciepłe — żeby pozbyć się bólu głowy i burczenia w brzuchu.

Gdy wchodzę do kuchni, obrzuca mnie wzrokiem moja starsza siostra Juana-Alodia. Powinna mi złożyć życzenia urodzinowe, tymczasem wykrzywia się na mój widok. Siedzi na przypiecku oparta o ciepłe kafle. Ma dystygowanie skrzyżowane nogi, kołysze w przód i w tył szczupłą stopą, skubiąc kromkę chleba.

Dlaczego to nie ona wychodzi dzisiaj za mąż?

Widząc mnie, szef kuchni uśmiecha się spod przyprószonego mąką wasa i podsuwa mi talerz. A na nim puszyste, złociste ciasto, posypane zmielonymi orzeszkami pistacjowymi i polane miodem. Ślina napływa mi do ust. Mówię kucharzowi, że zjem nie jedną porcję, lecz dwie.

Siadam koło Alodii, bacząc na wiszące nad naszymi głowami mosiężne patelnie. Spogląda na mój talerz z niesmakiem. Nie przewróciła oczami, jednak czuję się tak, jakby to zrobiła. Patrzę na nią.

— Eliso... — zaczyna, lecz nie wie, co powiedzieć, a ja wpycham do ust kawał puszystego ciasta, demonstrując, że mam gdzieś jej uwagi. Ból głowy ustępuje niemal natychmiast.

Siostra mnie nienawidzi. Wiem o tym od lat. Ximena mówi mi, że to dlatego, iż to ja, a nie ona, zostałam wybrana przez Boga. Bóg ją powinien był wybrać: jest wysportowana i rozsądna, wytworna i silna psychicznie. Papa mówi, że warta jest tyle, co dwóch synów. Obserwuję ją, przeżuwając ciasto — jej lśniąca czarna włosy i policzki jak spod dłuta rzeźbiarza, piękne łuki brwi okalające ufne oczy. Nienawidzę jej, tak jak ona mnie.

Gdy umrze papa, ona zostanie królową Orovalle. Marzy o władzy, ja zaś nie, tymczasem jak na ironię właśnie ja przez małżeństwo z królem Alejandrem zostanę królową kraju dwa razy większego i dwa razy bogatszego niż nasz.

Wciąż nie wiem, dlaczego to mnie wydają za męż. Z pewnością władca kraju Joya d’Arena wolałby z dwóch córek wybrać tę piękną, godną królewskiej korony. Zamieram w połowie kęsa, gdy uświadamiam sobie, że z pewnością takiego wyboru dokonał.

Ja jestem kontrpropozycją.

Znowu pod powieki cisną mi się łzy, więc zaciskam szczęki aż do bólu, bo raczej dałabym się stratować koniom, niżbym miała okazać słabość przed siostrą. Wyobrażam sobie, co mówili, żeby go przekonać. „Została wybrana do spełnienia misji. Nie, jeszcze nic się nie działo, ale nadchodzi czas, jesteśmy pewni. Tak, zna biegle *lingua classica*. Nie, nie jest piękna, ale jest mądra. Służba ją uwielbia. I pięknie haftuje konia”.

A potem usłyszał znacznie więcej. Już wie, że łatwo się zniechęcam, że moje suknie wciąż trzeba poszerzać i że obrzydliwie się pocę podczas pustynnego lata. Modłę się, byśmy jakimś dziwnym trafem okazali się dobraną parą. Być może chorował w dzieciństwie na ospę. Być może powłóczy nogami. Miałabym powód, by się nie przejmować, gdy odwróci się ode mnie ze wstrętem.

Alodia zjadła swój chleb. Wstaje i się przeciąga, świadoma własnej gracji i smukłej sylwetki. Patrzy na mnie jakoś dziwnie — podejrzewam, że z litością.

— Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebowała dzisiaj pomocy — mówi. — W przygotowaniach... — Wychodzi pośpiesznie, nie czekając na odpowiedź.

Zabieram się do drugiej porcji ciasta. Już nie smakuje jak pierwsza, ale przynajmniej zabijam czas.

*

Później tego dnia stoję obok papy przed bazyliką, mobilizując się do wejścia jako panna młoda. Przytłaczają mnie wielkie sklezione drzwi; złowrogo mruga wyrzeźbione na nich słońce — herb królewski de Riquezów. Zza drzwi

dochodzi gwar tłumu. Jestem zdziwiona, że tak wielu gości przybyło, mimo że zawiadomiono ich niemal w ostatniej chwili. Być może właśnie ten pośpiech sprawił, iż wydarzenie przyciągnęło takie tłumy. Pewnie podejrzewają, że kryje się za tym jakiś sekret czy desperacja, może ciąża księżniczki lub tajny pakt polityczny. Mnie nie obchodzi, co myślą, byleby tylko król Alejandro był brzydki.

Czekamy na sygnał herolda. Papie nie przyszło do głowy, żeby złożyć mi życzenia urodzinowe. Jestem więc wstrząśnięta, widząc nagle łzy w jego oczach. Czyżby go smuciło, że odjadę? A może czuje się winny?

Zaskakuje mnie jeszcze bardziej, gdy przyciąga mnie do siebie i z całej siły przyciska do piersi. Niemal się duszę, ale chętnie odwzajemniam taki rzadki uścisk. Papa jest wysoki i chudy jak Juana-Alodia. Wiem, że nie wyczuwa moich żeber, ale ja jego tak. Niewiele je od czasu, kiedy Inwierni zaczęli naruszać nasze granice.

— Przypomina mi się dzień twojego chrztu — szepcze papa. Słyszałam tę opowieść setki razy, ale nigdy z jego ust. — Leżałaś w kołysce w białym jedwabnym beciku, przewiązanym czerwonymi kokardami. Arcykapłan nachylił się nad tobą z flakonem z wodą święconą w ręku, by polać nią twoje czoło i nadać ci imię Juana-Anica.

Nagle niebiańskie światło zalało świątynię i kapłan rozlał wodę na twój becik. Wiem, że światło padało z samego nieba, gdyż nie było żółte, lecz białe, delikatne i ciepłe. Chciało mi się śmiać i modlić jednocześnie. — Papa uśmiecha się na tamto wspomnienie. Jakbym słyszała tamten śmiech w jego głosie. I słyszę dumę. Aż mi się serce ściska. — Poświata skupiła się w wiązkę, która padła na twoją kołyskę, a wtedy ty się roześmiałaś. — Głaszcz mnie po głowie, potem przeciąga ręką po moim welonie. Słyszę własne westchnienie. — Miałaś tylko siedem dni, a śmiałaś się i śmiałaś.

Juana-Alodia pierwsza przydreptała do ciebie, jak tylko

światło się rozproszyło. Twoja siostra odwinęła mokry becik i zobaczyliśmy Boski Kamień w twoim pępku, gorący i pulsujący życiem, chociaż niebieski, krystaliczny i twardy jak diament. Wtedy właśnie postanowiliśmy nadać ci imię Lucero-Elisa. — Niebiańskie światło, wybranka Boga. Duszę się od jego słów i jego uścisku. Przez całe życie przypomniano mi, że jestem powołana przez Boga.

Słysząc dźwięki trąb, stłumione, ponieważ dochodzą zza drzwi. Papa wypuszcza mnie z objęć i opuszcza mi welon na twarz. Przyjmuję to z ulgą, nie chcę, żeby ktokolwiek dostrzegł mój strach i pot gromadzący się nad górną wargą. Drzwi otwierają się na oścież, odsłaniając przytłaczającą ogromem halę z łukowym sklepieniem i malowidłami na ścianach. Wypełnia ją woń róż i kadzidła. Z ław podnoszą się setki sylwetek w szatach o jasnych, weselnych kolorach. Gdy patrzę przez welon, widok przypomina mi ogród kwiatowy mamy: gąszcz pomarańczowych bugenwilli z plamami żółtocytrynowych kwiatów allamandy i różowych hibiskusa.

Herold obwieszcza:

— Jego Królewska Mość Hitzedar de Riqueza, król Orovalle! Jej Wysokość Lucero-Elisa de Riqueza, księżniczka Orovalle!

Papa ujmuje moją rękę i trzyma ją na wysokości ramienia. Jego dłoń jest tak samo wilgotna i drżąca jak moja, ale udaje nam się sunąć płynnie do przodu przy brzękliwych dźwiękach weselnej pieśni w wykonaniu kwartetu vihuelistów. Na końcu nawy stoi mężczyzna w czarnym stroju. Nieostro widzę jego sylwetkę, ale nie jest ani niski, ani przygarbiony. Ani też gruby.

Mijamy kamienne kolumny i dębowe ławy. Kątem oka zerkam na damę w zwojach błękitnej tkaniny, a zerkam na nią, gdyż nachyla się do swojej towarzyszki i szepcze jej coś do ucha, gdy przechodzę obok. Zaczynają trajkotać. Płonie mi twarz. Dochodząc do mojego wysokiego i prostego

jak trzcina narzeczonego, modłę się jeszcze o dziury po ospie.

Papa przekazuje moją śliską dłoń mężczyźnie w czerni. Jego ręka jest duża, większa niż dłoń papy, i ma zdecydowany chwyt, jakby nie odczuwała, że trzyma coś przypominającego lepka, śniętą rybę. Chciałabym oswobodzić palce z jego dłoni i wytrzeć je o coś, choćby o suknię.

Za mną rozlega się echem głośne pociąganie nosem — to bez wątpienia lady Aneaxi, która jest w łzawym nastroju od czasu zapowiedzi mojego ślubu. Przede mną ksiądz szczebiocze śpiewnie w *lingua classica* — coś na temat małżeństwa. Lubię ten język za liryczne brzmienie samogłosek i miękkość słów wyczuwalną na zębach, ale teraz nie mogę skupić uwagi.

Od zapowiedzi odpychałam od siebie rozważanie o pewnych sprawach. Spychałam je głęboko do wewnątrz, zajęta nauką, haftowaniem i jedzeniem. I nagle teraz, gdy stoję w ślubnej sukni z dłonią w żelaznym uścisku ręki tego wysokiego cudzoziemca, zaczynam o nich myśleć i serce wali mi w piersi.

Wyruszam jutro do kraju na pustyni, który się nazywa Joya d’Arena, i będę tam królową. Zostawiam rosnącą za oknem mojej sypialni jakarandę, która zakwitnie na liliowo, czego już nie zobaczę. Zostawiam malowane ceglane ściany i szmerzące fontanny, by osiąść w tysiącletnim kamiennym zamku. Zostawiam młodszy, prężny naród dla kraju podobnego do wielkiej bestii — wypalonego przez słońce i zastygłego w tradycjach, które spowodowały, że moi przodkowie z niego uciekli. Nie miałam i nie mam odwagi zapytać papę czy Alodię, dlaczego tak ma być. Boję się usłyszeć, że chcą się mnie pozbyć.

Najbardziej jednak przeraża mnie to, że zostaję czyjąś żoną.

Mówię trzema językami. Znam niemal na pamięć *Belleza*

Guerra i Scriptura Sancta. Potrafię ozdobić haftem *terno* w ciągu zaledwie dwóch dni. Ale czuję się jak mała dziewczynka.

To Juanę-Alodię od zawsze pociągały sprawy królestwa. To ona przemierza konno kraj, pokazuje się publicznie u boku ojca i czaruje szlachtę. Ja nie mam pojęcia o obowiązkach dojrzałej kobiety. A dzisiaj w nocy... Nadal nie mogę myśleć o dzisiejszej nocy.

Szkoda, że nasza mama nie żyje.

Ksiądz ogłasza, że zawarliśmy związek małżeński przed Bogiem, królem Orovalle i zebrany tu gronem *nobleza d'oro*. Potem spryskuje nas wodą ze świętej studni *cenote* i wreszcie daje znak, byśmy stanęli twarzami do siebie, i mówi przy tym coś o moim welonie. Odwracam się do mojego męża. Policzki mi płoną, wiem, że moja twarz jest cała w szkarłatnych plamach i będzie się świeciła od potu, gdy on uniesie welon, który na razie chroni mnie jak tarcza.

Puszcza moją rękę. Zaciskam ją w pięść, zwalczając odruchową chęć wytarcia jej w *terno*. Widzę jego palce na brzegu welonu. Brązowe, grube, z krótkimi, czystymi paznokciami. To nie są ręce uczonego, nie takie ma mistrz Geraldo. Podnosi mój welon, mrużę oczy, gdy chłodniejsze powietrze opływa moje policzki. Wpatruję się w twarz mojego męża. Czarne włosy zaczesane do tyłu opadają mu miękko na szyję, brązowe oczy mają odcień cieplejszy od cynamonu, a usta są silne jak jego ręce.

Jakiś grymas przemyka po jego twarzy. Zdenerwowanie? Rozczarowanie? Lecz natychmiast uśmiecha się do mnie — bez politowania czy zawodu, po prostu przyjaźnie — a ja wzdycham, czując, jak moje serce zalewa wbrew woli fala ciepła.

Król Alejandro jest najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam.

Powinnam odwzajemnić uśmiech, ale policzki nie są mi posłuszne. Pochyla się i muska wargami moje usta. To

niewinny i delikatny pocałunek. Przeciąga kciukiem po moim policzku i mówi szeptem, tak że tylko ja słyszę:

— Miło cię poznać, Lucero-Eliso.

*

Długi stół zastawiony jest półmiskami z jedzeniem. Siedzimy obok siebie na ławie i wreszcie mam co robić poza unikaniem jego wzroku. Nasze ramiona stykają się, gdy sięgam po opiekane kalmary i kieliszek wina. Przeżuwam szybko i już zastanawiam się, co wybrać dalej: zielone chili faszerowane serem czy strzępioną wieprzowinę w sosie orzechowym? Przed nami, na podłodze poniżej podium, uczują arystokratyczni goście — *nobleza d'oro*. Krażą z kielichami w rękach, a wśród nich Juana-Alodia, szczupła i piękna, i uśmiechnięta. Czują się przy niej swobodnie, śmieją się. Zauważam rzucane ukradkiem spojrzenia w stronę siedzącego przy mnie mężczyzny. Dlaczego nie podchodzą, by się przedstawić? Dziwne, że to odziane w złoto towarzystwo rezygnuje z okazji przypochlebiania się królowi.

Czuję na sobie jego oczy. Obserwował mnie, gdy wpychałam do ust smażoną sardelę. Czuję się zawstydzona, ale nie mogę się oprzeć pokusie spojrzenia mu w oczy. Na jego twarzy nadal gości ten przyjazny uśmiech.

— Lubisz ryby?

— Uhm — odpowiadam z pełnymi ustami.

Uśmiecha się szerzej. Ma piękne zęby.

— Ja również — mówi. Sięga po sardelę i wrzuca ją do ust. W kącikach oczu pojawiają mu się zmarszczki, gdy ruszając szczękami, patrzy na mnie. Odzywa się stłumionym głosem, bo jeszcze ma pełne usta.

— Będziemy mieli o czym rozmawiać, ty i ja.

Przełykam i potakuję. Jego słowa powinny mnie przestraszyć. Tymczasem czuję w brzuchu iskierki ciepła, jestem dumna, że król tak wielkiego kraju jak Joya d'Arena

uważa mnie za osobę, z którą warto rozmawiać.

Bankiet kończy się zbyt szybko. Rzeczywiście trochę rozmawiamy, ale ja wypadam jak niemota, gdyż na niewiele mnie stać poza wpatrywaniem się w jego poruszające się wargi i słuchanie jego głosu.

Pyta, jakie nauki pobieram. Zdradzam, że mam stuletni egzemplarz *Belleza Guerra*. Widzę w jego oczach żywe zainteresowanie.

— Tak, twoja siostra mówiła mi, że jesteś wielce czytana w arkanach sztuki wojennej.

Nie wiem, co na to powiedzieć. Nie chcę rozmawiać o Juanie-Alodii i zdaję sobie sprawę, jak bardzo śmieszna mogę się wydawać jako żona: infantylna grubaska, która nigdy nie dosiadła konia, a mieczem posługiwała się jedynie do krojenia mięsa. A jednak wojny mnie fascynują i zgłębiałam historię każdej potyczki z wrogiem w dziejach naszego kraju.

W pewnym momencie ucisza się szlachetne zgromadzenie, więc podążam wzrokiem za zbiorowym spojrzeniem skierowanym na małą scenę z desek. Muzycy z niej zeszli — nie przypominam sobie momentu, kiedy zamilkły vihuele — i ich miejsce zajęli mój ojciec i moja siostra. Ona zabiera głos, trzyma w górze kielich, złoci się jej nagie opalone ramię, mówi głośno i wyraźnie:

— Jesteśmy dzisiaj świadkami powstania nowej więzi między Joyą d’Arena i Orovalle. Niech Bóg pobłogosławi ten związek pokojem i mądrością, zamożnością i pięknem — mówiąc to, Alodia uśmiecha się szeroko. — Oraz licznym, bardzo licznym potomstwem. — Sala bankietowa rozbrzmiewa śmiechem, jakby to był najdowcipniejszy toast w świecie. Twarz mnie pali i wybucha we mnie nienawiść do siostry, silniejsza niż kiedykolwiek dotąd. — Czas powiedzieć młodej parze dobranoc — kontynuuje Alodia. Uczestniczyłam w setkach uczt weselnych, a mimo to skaczę do góry, gdy lady Aneaxi chwyta mnie za ramię.

Przyszła z grupą ubranych na białe dwórek z girlandami papierowych kwiatów, żeby odprowadzić nas do małżeńskiej komnaty.

Wstajemy, król i ja, chociaż nie wiem, jakim cudem ja się podnoszę, gdyż moje nogi ogarnia niepokojąca bezwładność. Pachy mam lepkie od potu, serce wali mi jak szalone. Boże mój, nie wiem, co mam robić. Mrugam rozpaczliwie powiekami, żeby tylko się nie rozplakać.

Dwórki, wesołe i rozchichotane, otaczają nas i wyprowadzają z sali bankietowej przy okrzykach błogosławieństwa i zachęt zgromadzonych gości. Ukradkiem zerkam na męża. Po raz pierwszy od momentu, kiedy odsłonił mój welon, unika kontaktu wzrokowego ze mną.

2



W komnacie jest przytulnie od złotego blasku i miodowego zapachu woskowych świec. Migoczą wszędzie — na parapecie, na kamiennym kominku, na mahoniowych ławach otaczających zasłonięte łożo.

Łoże...

Na prawo ode mnie mój mąż podobnie jak ja zastygł w miejscu niczym statua. Nie mam odwagi spojrzeć na tę ciemną kolumnę cienia, więc patrzę na baldachim z ufarbowanej na czerwono cienkiej bawełny. Dwórki śpiesznie rozsuwają go i przywiązują fałdy tkaniny do kolumn w rogach łoża. Wielkie słońce w herbie de Roquezów śmieje się do mnie z kółdri. Wbijam wzrok w ledwie zarysowane słoneczne oblicze, w języki żółtego ognia wokół tarczy, ale lady Aneaxi wytrzyma na kółdrę wiadro płatków różanych i rozprowadza je palcami, tak że w rezultacie nic spod nich nie widać.

Różowoczerwone płatki nasycają powietrze delikatną kwiatową nutą, łączącą się z zapachem świec w odurzającą mieszaninę. Wspominam woń róż towarzyszącą ślubnej ceremonii i dotknięcie jego warg, które zbyt szybko przesunęły się po moich ustach.

Pragnę, żeby znowu mnie pocałował.

To nie był mój pierwszy pocałunek. Gdy miałam czternaście lat, ten wątpliwy zaszczyt spotkał pewnego wysokiego, tyczkowatego chłopaka podczas którejś ucztę weselnej. Zbyt nieśmiała, żeby z kimś tańczyć, schowałam się w kącie — tam mnie znalazł i wyznał miłość. Oczy błyszczały mu takim ogniem, że krew napłynęła mi do twarzy. Przycisnął usta do moich warg, poczułam smak bazylii na jego języku, ale całował mnie w taki sposób, w jaki ja recytowałabym fragment *Przewodnika po służbie Bogu*. Z pamięci. Beznamiętnie.

Wyszłam z bankietu wytracona z równowagi, a rano, przy śniadaniu z jajek w koszulkach na warstwie porów, Alodia opowiedziała mi, że jakiś hrabiowski synalek zaciągnął ją poprzedniego wieczoru w ciemny kąt i ta chudzina, wyznawszy jej miłość, próbował ją pocałować. Dała mu prztyczka w nos i odeszła, śmiejąc się z biedaka, któremu zamarzyło się być w łóżku z księżniczką. Tak mi mówiła.

Aneaxi przyciska usta do mojego czoła.

— Moja Eliso — szepcze.

Potem wychodzi z naszej komnaty wraz z dwórkami. Nim zamkną za sobą drzwi, widzę przez moment stojących u wejścia potężnych, ogorzałych od słońca żołnierzy w stalowych napierśnikach. Rozpoznaję u nich czerwone jedwabne naszywki osobistej gwardii króla Alejandra, więc zadaję sobie pytanie, czy Jego Królewska Mość czuje się zagrożony. Kiedy jednak patrzę znów na niego, na czarne włosy zwijające się w loki przy szyi, na silne spalone słońcem ręce, zapominam o straży.

Pragnę czegoś więcej niż krótki pocałunek. Jednak ta myśl przeraża.

Mój mąż nic nie mówi, tylko spogląda szeroko otwartymi oczami na obrzuconą płatkami pościel. Chciałabym wiedzieć, o czym myśli, lecz nie mam śmiałości zapytać. Wpatrzona w jego profil, wracam wspomnieniem do

beznamiętnego pocałunku hrabiowskiego syna. Czuję pulsowanie krwi w uszach, gdy wreszcie otwieram usta.

— Nie zależy mi na zbliżeniu dzisiejszej nocy.

Rozluźnia ramiona, a z poruszenia warg odczytuję jakby przebłysk uśmiechu.

— Jak sobie życzysz — mówi.

Odwracam się i tak ciężko siadam na łóżku, że podrywam chmurę płatków, które opadają na glinianą podłogę. Czuję wielką ulgę. Jednak również lekkie rozczarowanie, że tak chętnie się zgodził. Miłe byłoby poczucie, że choć troszkę mnie pragnie.

Skrzyżował ręce i oparł się o masywną kolumnę łóżka. Dobrze mnie teraz widzi; podejrzewam, iż odczuwa ulgę równą mojej. W świetle świec jego włosy mienia się odcieniem czerwieni jak góry Sierra Sangre o zachodzie słońca.

— A więc, możemy porozmawiać — mówi z radością.

Ma sympatyczny głos. Niski i ciepły.

— Porozmawiać? — pytam poważnie.

Lekki grymas jego ust zamienia się w szeroki uśmiech, jakby księżyc wschodził na niebo w letnią noc.

— Chyba że wolisz pozostać poślubiona obcemu człowiekowi.

Poślubiona...

Nagle to wszystko wydaje się tak groteskowe, że nie mogę powstrzymać chichotu wyrrywającego mi się z krtani. Zakrywam usta pięścią i śmieję się w zwinięte palce.

— Przyznaję, że czuję się zakłopotany, jednak nie przyszło mi do głowy, żeby się zaśmiewać — mówi.

Jego słowa mnie otrzeźwiają. Podnoszę wzrok, zaniepokojona, że go rozgniewałam, ale nie, dalej się uśmiecha i ma zmrużone wesoło kąciaki oczu.

Odwzajemniam uśmiech.

— Przepraszam, Wasza Królewska Mość...

— Alejandro.

Przełykam ślinę.

— Alejandro.

Patrzy na mnie z sympatią i coś się we mnie przełamuje. Wylewam potok słów.

— Papa i Alodia od dawna mi mówili, że wyjdę za mąż dla dobra królestwa Orovalle. Zaakceptowałam to lata temu. Mam jednak tylko pięć... szesnaście lat. Miałam nadzieję, że będę miała więcej czasu... Nie spodziewałam się... Chcę powiedzieć, że jesteś... — Upewniam się, że na jego twarzy nie ma rozbawienia. — Jesteś bardzo uprzejmy — kończę nieprzekonująco.

Przechodzi do sofy pod oknem.

— Dostanę poduszkę?

Sięgam po taką okrągłą z czerwonymi frędzlami i strząsam z niej płatki róż, a potem rzucam nią w niego. Chwyta ją z łatwością, kładzie się na sofie, podciągając długie nogi, a poduszkę kładzie sobie na brzuchu. Z podkurczonymi nogami i szeroko otwartymi oczami nie wygląda na dużo starszego ode mnie.

— Więc... — odzywa się, patrząc w sufit. Jestem zadowolona, że to on zaczyna rozmowę. — Co chciałabyś wiedzieć o mnie i o Joya d'Arena?

Zastanawiam się. Wiem już, że jego pierwsza żona zmarła przy porodzie, że jego syn ma sześć lat i że Invierni nękają granice jego królestwa częściej niż naszego, ponieważ potrzebują dostępu do morza. Joya to głównie pustynia, ale bogata w srebro i diamenty, a wzdłuż wybrzeża pasą się stada bydła. Właściwie wiem prawie wszystko. Oprócz...

— Proszę, pytaj — ponagla.

— Alejandro... czego ty chcesz? Ode mnie?

Jego uśmiech znika. Tylko przez moment boję się, że go zirytowałam — niezmiennie rozdrażniałam swoimi pytaniami Alodię — i uspokajam się, gdy porusza głową, a ja widzę idealną linię jego profilu, na który padło światło.

Słyszę westchnienie.